

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 10 czerwca 1916 roku.

№ 24.

ST. DZIKOWSKI.

Na froncie wołyńskim.

5

Rosyanie, odparci aż do swojej pierwotnej linii, próbowali atakować znowu tej samej nocy. W szarzącym świcie bladego poranku widać było znaczne siły nieprzyjacielskie, wynurzające się ze skrajów lasu. Ale tym razem wyręczyła nas artyleria. Nakryci stalowym dachem mknących pocisków żołnierze nasi z uśmiechem krwawego zadowolenia patrzyli na bogate żniwo ognia działowego. Pekające szrapnele uczyniły jeden wielki obłok, który rozsnuwał się szeroko wśród mglistych oparów porannych. Granaty wyrzucały w górę słupy ziemi, wierciły bruzdy w szeregach rosyjskich, opasując je śmiertelnym kołem. Po kilka razy wynurzały się z lasu głębokie, wzmożone linie tyralierskie i zawsze cofały się zmieszane, strwożone. Wreszcie znikły na zawsze w sieniei czeluści drzew.

Tak więc atak rosyjski, który odbywał się w niezwykle korzystnych warunkach, spełził na niczem. Pomnożyły się tylko straty, wzmożła się nieufność w zwycięstwo.

W dwa dni potem byłem świadkiem ataku batalionu niemieckiego. Odbył się prawie cicho i nieznacznie. Rosyanie opuścili swoje stanowiska bez walki. W kilkanaście minut od tej chwili, kiedy w moich oczach rozwinęła się linia tyralierska niemiecka, prowadzono już liczne gromady jeńców, którzy oddawali się do niewoli z tępem zadowoleniem zmęczonych, wyczerpanych przerażeniem zwierząt. Niektórzy żegnali się pobożnie na znak, że oto skończyła się wreszcie ich niedola. Tkwił w tem niewątpliwie i nasz sukces moralny. Noc z siódmego listopada da jest strasznym wspomnieniem tylko dla nas — dla nas, którym na

myśl o niej jawią się twarze zaprzepaszczonej i zabitych towarzyszy. Ale w znaczeniu ogólnostrategicznym był to tylko jeden epizod walki, uwieńczonej mimo strat poważnych bezwzględnym powodzeniem.

Na pobojuwisku przez długi czas jeszcze słychać było rozpaczliwe jęki i wołania o pomoc ciężko rannych. Leżeli pomiędzy naszą a rosyjskimi pozycjami i nie mogli doczołgać się ani w jedną ani w drugą stronę. Ustawiczny ogień przeszkadzał w niesieniu im pomocy. Tylko ciału Szalita udało się znaleźć gdzieś daleko od naszej linii. Ranny w okolicę brzucha, miał przerwana arterję i zginął z upływu krwi. Przytnął go patrol oficerski, który wyruszył następnej nocy z pułkownikiem J. na czele.

Przez długi czas jeszcze znajdowaliśmy trupy poległych legionistów. Chowano ich w różnych miejscach. Na samym pobojuwisku, w B. i na cmentarzu we wsi H. Krzyże i napisy wskażą ich groby tym, którzy tu może po wojnie przybędą szukać drogich śladów.

Pobojuwisko.

W kilka dni potem jechałem z M. przez L. i B. w kierunku naszych nowych pozycji. Rosyanie, przełamani daleko na lewym skrzydle, opuścili dobrowolnie swoje okopy i cofnęli się aż za Styr. W głębi lasu zajęły oba bataliony drugiego pułku rezerwowe stanowisko. Fatalna, rozmiękła od długich deszczów droga nie pozwalała im zachować zwykłego kierunku. Począwszy od L., musiałem zatoczyć dalekie koło. I tak oto wypadło mi przejeżdżać koło naszych dawnych po-

zycy. Poznałem odrazu mały lassek, w którym stał niegdyś pierwszy batalion. Potem bagniste łąki i zarosła, któremi skradaliśmy się aż do pierwszej linii, to znowu odsłonięta przestrzeń, którą trzeba było przebiegać pod gradem kul nieprzyjacielskich. Wreszcie rozwarło się przedemną szeroko olbrzymie pobojuwisko — miejsce niedawnych zmagania i walk krwawych. Wszystko to, co było niegdyś tajemnicze i niezbadane, teraz odsłaniało się bezwstydnie przedemną. Patrzyłem z wysokości konia na okopy zalane wodą, rów dobiegowy, niby sprzęt już bezużyteczny, zasięki druciane, rozrzucone nieporządnie, i wiatrak pogruhotany, podobny do jakiegoś fantastycznego straszdyła. Potem szare pola, usiane błyszcząciami skorupami wystrzelonych pocisków, i znowu okopy, rowy, małe dołki, naprędcie łopatą wygrzebane, podpełzające prawie aż pod sam skraj boru. Dziwiło mnie, że to wszystko można oglądać bezkarnie i bezpiecznie — brakowało świstu kul i pekających granatów. Przytłaczała, niby ciężkim uściskiem, cisza niezmącona niczem, obca i odpychająca. Gdzieś niedługo walały się jeszcze trupy. Pośrodku małego bagienka zobaczyłem ciało żołnierza rosyjskiego, który zdawał się wyciągniętemi przed siebie rękoma odpychać w przerażeniu widno śmierci. W innym miejscu leżały ułożone długim rzędem zwłoki poległych, przygotowane do rychłego pogrzebu. Pomiędzy spokojnymi, zastygłymi twarzami widać było czaszki rozłupane i oblicza potwornie zniekształcone.

Z uczuciem ulgi wjechałem na drogę, prowadzącą do lasu. Przecinały ją opuszczone pozycje rosyjskie, przywalone pniami drzew i stosami pogruhotanych konarów. Olbrzymie sosny, podcięte jednym wybuchem granatu, opadły na ziemię, opierając jeszcze swe czuby o gałęzie sąsiadów. Wnętrza potężnych, obalonych pni dymity jeszcze nie-

raz przyduszonym ogniem. Niektóre ucięte wysoko sterczały żałośnie, godząc w niebo rozszczepionemi w kształt gwiazdy drzazgami. Cały ten las okaleczony, zsiekany, zbity i pogruchołany zdawał się skarżyć żalosem skrzyknięciem pni i przeciągłym szumem u szczytów.

Jechałem dalej drogą, zanurzając się coraz bardziej w mrocznej gęstwinie drzew. Zniknął wszelki ślad wojny, objęła mnie na długo pustka i chłód głębiny leśnej. Wtem niespodziewanie do uszu moich doleciały jakieś głosy zmieszane, zadźwięczały wesoły śmiech i odezwała się zmienacka, budząc uśpione echo. Żołnierska, junacka pieśń! Dziwnie zabrzmiało to wszystko po nocej ciszy obumarłego pobożowiska. Podjechałem dalej i zobaczyłem ogniska płonące raźnie, a pomiędzy niemi postacie naszych żołnierzy.

Widać, zapomnieli o wszystkim. Było im dobrze w tym lesie i nocnych, wygodnych szałasach. Niedaleko dymity się kuchnie. Czegóż więcej potrzeba żołnierzowi po trudach i znojach? Cóż jest więcej rozkosznego od ciepłego ogniska i gorącej stawy, kiedy się przez długi czas głodem przymierało? Cóż może bardziej poціgać, jak sen spokojny na gałęziach sosnowych pod derką i płaszczem, skoro się ma za sobą tyle niedalekich noclegów na zimnym piasku lub mokrom błocie? Tylko ten może zrozumieć, kto to sam przeżył. Świadomość minionego trudu wznaga rozkosz odpoczynku aż do ekstazy. Tylko w jego pieszczotliwym uścisku jest zapomnienie o wszystkim. Nigdy pragnienie życia nie potęguje się tak, jak w tych chwilach. Aż wreszcie spoczynek zamienia się w gnuśną bezczynność i niecierpliwe oczekiwanie nowych przygód. Wtedy żołnierz bierze nieraz do ręki broń swoją, czyści ją, rozbięra, pieści i patrzy z utęsknieniem na jej migotliwy, stalowy błysk.

I tak być musi, bo to jest wierny kalejdoskop wojny, w którym się splata w jeden łańcuch śmierć z życiem — jęk rannych i konających miesza się ze śmiechem niefrasobliwym. Po zwątpieniach i wątpliwych nastrojach wszelakiego niezadowolenia, po melancholijnem wspomnianiu minionej przeszłości wyrasta krzepki kłós życia i rozkwita śmiała nadzieja zwycięstwa. Wtedy silna, nieobalona staje się wiara, że z drogi raz obranej nie już zawrócić nie może.

Gdyby towarzysze nasi, którzy zginęli, mogli znowu powrócić do życia, powtórzyliby to samo. Nawet w strzępach pamiętników i notatek krwią przesiąkniętych, nawet w listach już pod przecięciem śmierci pisanych, żyje wciąż ta niezemnie zdławiona nadzieja.

KONIEC.



LILI.

8

ROZDZIAŁ III.

— Lili, więc jesteś — powtarzał Brunon, patrząc na nią jaśniejącemi radością oczyma, — Wiesz, że, gdy otrzymałem twój telegram, tak mi się facytata rozpromieniła, że pocztylion powiada:

— Jaśnie pan odebrał dobrą wiadomość.

— Doskonała! — klapnąłem go po ramieniu i palnąłem w łapę trzy ruble — urznięj się na noc, przyjacielu, za siebie i za mnie, bo ja dziś wieczór spędzę rad w domu.

— A trzeba ci wiedzieć, że dziś właśnie Kamienieckiej oblewa swoją nową kamienicę, biba monstr w „Sielance“ z hecami...

— No to jedź!

— Lili, ależ to byłaby zgroza i obraza boska: w dzień twego przyjazdu! nie, teraz wogóle basta!... No, ale ja gadam, a tyś pewno głodna... co wolisz: kolację zaraz czy po kąpieli, — od godziny czeka gotowa?

— Ależ to ślicznie! w wagonach, powiadam ci, kurz, upał, ciasnota — doskonale, wyjmę tylko szlafroczek.

— Tam znajdziesz wszystko — odparł Brunon.

I rzeczywiście Lili zastała w łazience szorstki płaszcz kąpielowy, dwa szlafroczki do wyboru: niebieski i różowy, miękkie pantofelki, komplet przyborów toaletowych i śliczny koronkowy czepeczek.

— O wszystkim pamięta! — szepnęła i, zanurzając się w ciepłą wodę, poczuła, jak druga ciepła fala wdzięczności rozplywa się w jej sercu.

Po kąpieli przymierzyla oba szlafroczki, wybrała niebieski, włożyła kokieteryjnie czepeczek, zapięła pantofelki i cicho wkradła się do jadalnego pokoju, gdzie właśnie Brunon zasypywał do imbryczka herbatę, zakryła mu oczy rękami, przechyliła się przez ramię i, całując go, rzekła — dziękuję!

— Cała wdzięczność i przyjemność po mojej stronie — rzekł trzymając ją za ręce i przyglądając się jej ślicznej postaci.

Brunon kiwał z podziwem głową. — Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli jest bardziej urocza i ponętna kobieta!

— Bo-m ładnie ubrana!

— Głupstwo! tybyś w stroju żebraczkij zawarcała głowę dziadom pod kościołem, wytrzeszczałiby oczy niewidomi, mówiliby ci komplementy niemi — gadał Brunon, krzątając się około gospodarstwa, odprawił bowiem służyć spać, gdyż lubił wieczory spędzać sam na sam, być, jak się wyrażał, na dyżurze przy swojej pani.

— No, a jak tam — nalewając jej lekkiej herbaty — z tą kłapeczką w sercu? spokojnie?!

— Absolutnie! w wagonie tylko doświadczałam trochę duszności, ale przypuszczam, że nie ja jedna; jechaliśmy stłoczeni, jak sardynki w pudełku — odpowiedziała Lili, a jednocześnie przemknęło jej przez głowę, że Stefan ani razu nie zapytał jej o stan zdrowia.

— No, to dobrze, doleję za to jeszcze kropelkę esencji, a potem kieliszek białego — stoj — pokazał wystającą z wiaderka butelkę szampana, — wejdzie w żyły, to cię odświeży!

— Oj, zbytki, zbytki, Brunonie!

— A z kimże mam zbytkować, jak nie z tobą!

— No, dajmy na to — spojrzęła badawczo i wesoło Lili — niech dobrodziej się przyzna, ile wieczorów spędził w domu, ile w gabinecie, ile u pani Wandy!

Brunon trochę się zmieszał.

— Widzisz — zaczął, — jeżeli to było, to dla stłumienia tęsknoty, następnie rola Józefa jest więcej, niż śmieszna: ta kobieta uchodzi za piękność i istotnie jest ładna, w dobrym jeszcze stanie, choć w gruncie rzeczy to konserwy, przyczem okazała się bardzo mało subtelna w swej pysze dawnej lwicy, zadawała mi takie pytania...

Machnął ręką.

— Cóż to takiego, no powiedz, jeżeli bardzo drastyczne, to zamknę oczy — Lili zmrużyła powieki.

— Nietyle, ile coś, co mnie oburzyło do głębi: wyobraź sobie, spytała mnie, jak wypada porównanie? Postawiła mnie w bardzo kłopotliwym położeniu, ale nie wytrzymałem i palnąłem: — w braku laku dobry i oplątek! — No i, oczywiście, drzwij jej domu zatrzęsny się przedemną raz na zawsze, o co się weale zresztą nie gniewam! Powinnaś mnie wytargać za uszy, ale, moje dzieciątko, doprawdy ja bez ciebie tylko się awanturowuję i muszę, boym inaczej ze zmartwienia leżał, jak zdechły!

Zerwał się z krzesła, ukląkł i pocałował ją całować w wycięcie pantofelków.

— Bij, — powtarzał, — ale przebac!

A Lili, cofając nóżki, zatopiła mu palce w czuprynę i, wyrwawszy siwo włos, zawołała:

— Oto moja zemsta! a oto i drugi — dodała — pan blondyn a siwieje, czyż nie czas wobec tego się ustatkować?!

— Pokaż, nie może być, psia-kość, istotnie, skąd to się mogło za-

platać! No, oblejmy ten pierwszy sygnał starości!

Nalał kieliszki.

— Wolę na zgodę, na grzechów odpuśczenie — traciła się Lili.

— Dobra jesteś — uściskał ją wzruszony Brunon. — no, a teraz spać — dodał i zbliżył się.

— Daj spokój, ciężka jestem!

Ale Brunon podniósł ją i położył do łóżka, pomógł jej się rozebrać, a widząc, że jest zmęczona, rzekł:

— Dobranoc, do jutra! ja jeszcze muszę trochę posiedzieć, bo musisz wiedzieć, że robimy olbrzymi interes: tworzy się towarzystwo dla nabycia kompleksu placów po zrujnowanych koszarach. Chcemy z tego zrobić nową dzielnicę, prawdziwą ozdobę miasta; da to i nam zysk i niewątpliwie podniesie nasz gród.

— Mnie powierzono opracować plan, właśnie go wykończam, a w tych dniach odbędzie się walne zebranie: sami panowie u mnie.

— Musisz nam trochę pogospodarzyć i sprawić sobie na ten dzień odpowiednią toaletę; chcę, byś wyglądała, jak bóstwo.

— Posiedź tu chwilę i opowiadaj kto będzie?

— Łącki, Miososz, Koronowicz, obaj Gesnerowie, Zrymicz, przedstawiciel finansów, no i dyrektor, twój wielbiciel, Załęski. Może któryś jeszcze kogoś przyprowadzi. Kolacyj nie dają, ale herbatę, parę butelek i trochę zakąsek. O ile cię to nie znudzi: będziesz się mogła przysłuchiwać naszym naradom.

— Ależ owszem, ja lubię patrzeć, kiedy coś nowego powstaje, zwłaszcza, gdy to twój projekt, tylko zrób coś ładnego, nasze ulice takie obrzydliwe: mur, mur, a w murze okna.

Przytuliła się do niego, zgasiła lampę i roznieciła stojący przy łóżku świecznik, przysłonięty czerwonym abażurem. Zagrały różowe refleksy na białej jej twarzy, przeciągnęła się leniwie i przymknęła oczy.

Brunonowi zadrgało silnie serce.

— Lili! — pochylił się nad nią.

— Ja śpię! — szepnęła i rozchyliła usta w ślicznym półśmieszku.

— Ha, skoro śpisz... — Brunon wstał.

— Ale za chwilę się obudzę — przytrzymała go za rękę i, obejmując za szyję, szepnęła cicho:

— Więc doprawdy ja jestem lak a ona oplatek?

— Moja — pochwyił ją w ramiona.

— A co będzie z projektem? — pytała śród pocałunków.

— Zdążę, zdążę... — urywanym głosem zapewniał Brunon, a później patrzył z zachwytem na twarz Lili i mówił z radością:

— Cudne jest życie, ja nie umiem mówić, ale ty wiesz, niech mnie dyabli porwą, jeżeli nie jest szczęściem miłość a cudem kobieta — no dobranoc, ty moja najśliczniejsza!

A gdy Lili zbudziła się śród nocy, ujrzała przez matową szybę w drzwiach przeciekające z jego pokoju światło.

Brunon kończył projekt i słodko jeszcze odurzony myślił się w dodawaniu cyfr. Nazajutrz pierwszy był na nogach, przyniósł własnoręcznie Lili kawę do łóżka i zachęcał „leniuszka“ do wstania.

W ten sposób rozpoczęło się swobodne, wolne od trosk życie, przypominające słoneczną pogodę. Zaraz na wstępie, z powodu zebrania, Lili zajęła się sprawieniem nowej sukni. Rada myślała o nadchodzącym dniu, lubiła bowiem towarzystwo, przekładając męskie nad damskie, i wcale się nie martwiła, że szanujące się matrony uważały sobie za uchybienie wchodząc w ściślejsze stosunki z osobą wątpliwej kondyty. Za to mężczyźni garnęli się do domu Brunona, na razie, coprawda, z pewna nadzie-

ją, że tu można coś „zdobyć“, ale Lili umiała się tak postawić, że wszelkie nadzieje prysły, i jednocześnie tak oczarowała, że jednogłośnie stwierdzono, iż Brunon musiał się w czepku urodzić i niema w najwykwintniejszym salonie tak miłej i pojętnej, jak jego pani, gospodyni. Gdy powoli, skutkiem zabiegów dam ciekawych; dlaczego Lili na czas dłuższy z horyzontu znikła, stał się wiadomy jej stosunek do poety, czepek na głowie Brunona zmalął, a jednocześnie śród pań zapanowała konsternacja i irytacja, połączona z pewną dozą zazdrości i oburzenia.

— Trzeba przyznać — mówiono — że ta się umiała urządzać!

I Lili z tego powodu stała się przedmiotem silnego zainteresowania; to też ilekroć nkazywała się z Brunonem w teatrze, lornetowano ją w sposób dokuczliwy.

Dalszy ciąg nastąpi.

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

Katarzyna Sforza-Riario.

Kobieta-władca. •

4

Orsi obejrzał się badawczo po dziedzińcu. Nie spostrzegłszy nikogo ze służby Riaria, przybliżył się do kapitanów i mówił głosem przyciszonym.

— Znaczy to, że dni wasze są policzone. Jutro, pojutrze zakłują was znienaćka najęci zbrojnie zatrutym sztyletem, albo przedsiębiorcza hrabina strzyknę wam do wina lub wody kilka kropel szarego płynu Sforzów, który zabija piorunująco. I mnie czeka ten sam los, i ja bowiem przemówiłem się wczoraj ostro z hrabią o pieniądze. Wydrzeć chce on ze mnie dwieście dukatów i grozi mi karą, gdybym się opierał jego woli. Znam kary tego nowego gatunku samozwańczych władców. Na stryczku albo na toporze kata pojedą na drugi świat. Jesteśmy skazani na śmierć hańbiącą, wy i ja. Wobec tego nie pozostaje nam nic innego, jak zabezpieczyć siebie samych kosztem tego chłystka, któremu pod płaszczem papieża urosły rogi bawołu. Usunąć go trzeba z naszej drogi, zanimby on nas zdążył zmiażdżyć. Przyjdźcie dziś wieczorem do mnie. Naradzimy się, jak pozbyć się tego tyрана.

Nazajutrz, wieczorem, kiedy Riario omawiał w „sali mim“ ze swoim kanclerzem sprawy bieżące miasta, wszedł bez meldowania Checco Orsi, oświadczając, iż przybywa z bardzo ważnym listem. Hrabia podniósł się z krzesła i zbliżył się do kapitana swojej gwardyi. W tej

chwili błysnął sztylet w rękę Orsiego i utonął w piersi Riaria. Na krzyk ranionego wpadli do sali Ronchij i Pansechj i dobili go szpadami.

Nepot Sykstusa IV runął na posadzkę, zygając krwią. Przez kilka minut rzuciły nim kurcze śmiertelne; potem zgasało w jego przerażonych oczach światło życia, twarz pobladła, dłonie zamknęły się, członki wyprężyły.

Dusza opuściła swój futerał, ciało. Trup leżał wyprostowany na ziemi...

Nikt nie przybiegł na pomoc tyranowi, nikt go nie zwałował. Kanclerz uciekł z zamku, pierzchnęła także służba. Żołnierze przyboocznej straży zamordowanego, zamiast ująć morderców, wpadli do sali i wyrzucili trupa oknem na ulicę.

Pycha i brutalność Riaria zarobiły rzetelnie na nienawiść jego poddanych.

Mottoch forlijski, dowiedziawszy się o zamordowaniu rabusia ostatniego grosza ubogich, aż wylł z radości. Niech żyje wolność! ryczał i pędził na skrzydłach zemsty do zamku. Co się dało ukraść: meble, obrazy, srebra, naczyńia kuchenne, pościel, ubrania, pieniądze — łapał; czego nie mógł wynieść na plecach, albo w workach: drzwi, okna, posadzki, schody i piece — druzgotał, niszczył. Mało mu było łupu w zamku. Tam, na ulicy walał się w piasku trup, zbroczony krwią. A na tym trupie lśniły brokatowe suknie, błyszcząły złote pierścienie i łańcuchy. Zedrzeć z tego zdierycy wszystko aż do ko-

szuli! I motłoch zdarł wszystko ze zwłok Riaria...

Gromem uderzyła okrutna śmierć hrabiego w puchę Katarzyny. Uderzyła, ale nie zdruzgotowała jej.

Każdą inną kobietę byłaby nie spodziewana tragedia powaliła, byłaby jej odjęła przytomność. A córka Sforzów, zamiast wylewać łzy rozpaczy nad zwłokami małżonka, szukała w myśli drogi do ocalenia majątku swoich dzieci.

Trzeba się było spieszyć. Bo już dadniły na schodach, prowadzących do komnat hrabiny, drewniane sandały motłochu.

Opuścili ją najemni żołnierze, uciekła z zamku służba. Została sama z pięciorgiem dzieci i matką. Jeden tylko lokaj, który przybył z nią z Medyolanu, wytrwał przy jej boku.

Co robić w tem strasznym położeniu, jak wydostać się z matni, kogo prosić o pomoc? — migotało w jej mózgu.

— Andrzej! — rozkazała wierzniemu lokajowi. — Pędź natychmiast na moim ogierze do Ravalдино i opowiedz kasztelanowi, Tommasowi Feo, co się tu stało. I poproś go, aby wysłał bez zwłoki gońców do Bolonii i Medyolanu. Może nas Bentivogliowie i Sforzowie wydrą z rąk tych zdrajców.

Sługa wyskoczył oknem, spiesząc do stajni. W samą porę znikł w ciemnościach nocy, bo już wywalił motłoch drzwi i wtargnął do komnat hrabiny.

Łęk nie obezwładnił ramienia kobiety-łwicy, broniącej siebie i swoich dzieci. Jej miecz powstrzymał na chwilę oszalałą tłuszcę.

Wtem ukazał się na progu Checco Orsi.

— Poddajcie się, hrabino! — odezwał się. — Wasza odwaga jest bezsilna wobec moich uzbrojonych ludzi.

Za jego plecami ukazały się muszkiety i halabardy. Dostrzegła je Katarzyna i rozumiała, iż dalszy opór spowodowałby rzeź jej dzieci.

Zaciąwszy usta, oddała miecz w ręce mordercy swojego męża.

— Proszę za mną! — rozkazał Orsi. — W domu moim wypoczniecie po wstrząsie nerwów.

Milcząc, poszła z podniesioną głową za Orsim, otoczona swoją rodziną.

Szalało miasto z radości, że się pozbyło tyрана-uzurpatora i wróci pod łagodnie rządy legatów apostolskich. Papieskim lennem było Riario zniechęcał się nad jego republikańską wolnością bezprawnie.

Trzęsły się szynki i winiarnie od śpiewu, muzyki i wrzawy pijanych zwycięzców. Niech żyje wolność! — huczały ulice.

Miasto bawiło się, a jego ojcowie, dygnitarze magistracy, radzili w domu Orsich nad dalszym losem Katarzyny i jej dzieci.

— Zdaniem mojem, chcąc sobie zabezpieczyć wolność i pokój, powinni zdeptać to plemię kondotyerów i nepotów — domagał się Checco Orsi. — Myli się, komu się zdaje, że hrabina opuści Forli i Immolę bez zamiaru vendetty. Takie natury, jak ona, nie przebaczą zniwag i klęsk. Jeśli otworzymy dla niej bramy miasta i pozwolimy jej wyjść na swobodę, wróci niewątpliwie na czele jakiejś bandy i zemści się strasznie. Kto mógł się odważyć na zuchwałą awanturę rzymską, drwiąc z powagi św. Kollegium, ten nie będzie się obawiał naszych moździerzy i mieczów.

— Zabić tę dziką samiec razem z jej pomiotem! — wtórowali Orsiemu jego przyjaciele. — To nie kobieta, lecz tygrysyca, nie żona i matka, lecz władzy chciwa kondotyerka, podle nasienie podłej krwi Sforzów. Ona to podburzała tego ordynarnego parobka w sukniach *cavaliere'a* do tyranii, podniecała w nim pychę i uczyła go podstępów. Na szubienicę z nią!

Ostatnia godzina Katarzyny i jej dzieci byłaby wybita, gdyby tej godziny nie była powstrzymała dobroć i rycerskość monsignora Savelli'ego. Potomek starego rodu dynastycznego był namiestnikiem, legatem papieskim w Cesenie. Napomnieniu takiego dygnitarza nie mogła się przeciwstawić nienawidź radnych forlijskich do Riarioów. Słabszą była od jego władzy.

— Nie jest chrześcianinem, kto się pastwi nad swoją ofiarą, nie jest szlachetnym, kto podnosi mściwą rękę na kobiety i dzieci — upominał ksiądz Savelli radnych. — Jako legat papieski, obejmę tymczasowe rządy nad lennem Kościoła aż do dalszych rozporządzeń Watykanu. Co Rzym postanowi, będzie dla Forli i Imolj rozkazem. Tymczasem należy obchodzić się z hrabiną Katarzyną i jej rodziną, jak się prawy rycerz i chrześcianin obchodzi ze swoim jeńcem. Trzeba ją umieścić w zamku Torre di St. Pierro, niedotkniętym przez zwierzęcą zapalczywość motłochu i oddać ją pod opiekę uczciwych obywateli, aby nie czuła się w kajdanach więźnia.

Nie podobało się to rozporządzenie wrogom Riarioów, ale nie mogli go zmienić. Savelli przecież był po śmierci tyрана legalnym władcą lenna papieskiego.

Sam udał się do Katarzyny z dobrą wiadomością. Zastał ją w mizkiej, ciasnej izbie, stojącą w oknie. Pocięszał ją łagodnym słowem, obruszał się na dzikość motłochu forlijskiego, obiecywał jej wstawiennictwo w Watykanie.

Ona słuchała w milczeniu. Ani jednym słowem nie dziękowała praelatowi za życzliwość i uprzejmość. Gdyby nie słabe światło nocej lampki, które nie rozpraszało mroków wieczora, byłby się był Savelli do-

myślił, dla czego milczy. W pełnym świetle byłby wyczytał w fałdach jej zmarszczonego czoła, w ponurych błyskach oczu i w zaciętych nienawistnie ustach tłumiona wściekłość obrażonej pychy.

Jednem tylko uchem słuchała Katarzyna kojących słów praelata. Bowiem nie balsamu pociechy pożądała, jeno trucizny zemsty, nie o zastosowaniu się do nowego położenia myślała, lecz o powrocie do władzy.

Lepiej od Savelli'ego znał Orsi duszę córki Sforzów. Buchał z niej płomień pychy, żarła ją trucizna mściwości, kipiał w niej war gwałtownego temperamentu. A w mózgu czaiła się rafinowana przebiegłość podstępów.

Z takiej mieszaniny nie wykwiatają dusze szlachetne...

Przeprowadzona do drugiego zamku, myślała Katarzyna dniami i nocą tylko o powrocie do władzy i zemście. Bezbronna, pozbawiona wojska, rozporządzała w tej chwili jedynie środkami przebiegłości.

I przebiegłość pomogła jej.

Znalazł się jakiś sługa, który podjął się zanieść jej listy do dwóch zamków poza obrębem miasta, do Ravalдино i Schiavonia. Obaj kasztelanowie tych grodów byli jej przyjaciółmi. Pisała do nich: Wytrwajcie! Czekam na pomoc Medyolanu. Nie spuszczać mostów zwodzonych dla nikogo, oprócz dla mnie! Legat Savelli żąda wydania Ravalдина i Schiavonii w ręce papieskie. Odpowiedzcie im, iż bez jego pozwolenia nie wpuszczcie nikogo do zamku i że żądacie, abym wam sama przyniosła to pozwolenie. Chcę się wydobyć ze szpon tych zdrajców. Ufam wam, spodziewam się waszej pomocy. Reszty domyście się...

Stało się, co obmyśliła chytrze.

Savelli, Orsiowie i kilku radnych udali się z nią i uzbrojoną milicją do Ravalдино. Miała się ona według umowy rozmówić z kasztelanem, Tommasem Feo, głośno wobec świadków przez okienko strzelnicze.

Kiedy się jej stróżowie zatrzymali pod murami zamku, ukazała się w okienku głowa kasztelana, Katarzyna mówiła głosem podniesionym. Feo odpowiadał z góry: nic nie słyszę, nic nie rozumiem.

— Czyście ogłuchli? — krzyczała Katarzyna.

— Nic nie słyszę — powtarzał Feo.

Domyślił się, czego mu się jego pani kazała domyśleć.

— Jeśli chcecie, żebym się z wami porozumiał co do warunków wydania twierdzy, raczcie wejść do zamku, ale tylko sama, bo nikogo innego nie wpuszczę.

Długo naradzali się stróżowie Katarzyny, czy przychylić się do żądania kasztelana. Orsi, wietrząc

podstęp, opierał się temu żądaniu, ale dobroduszny Savelli nie miał nic przeciw niemu.

— Dzieci hrabiny zostały w mieście — przekonywał mordercę Riarria. — Nie byłaby matką, gdyby chciała rzucić swoją rodzinę na pastwę motlochowi iniejskiemu.

Orsi potrząsał głową niedowierzająco.

— Jak wasza wola, monsignore — rzekł, — Obyście nie żalowali zbytniej dobroci.

Zgodził się po długich targach z prąratem i radnymi na trzygodzinną rozmowę Katarzyny z Tommasem Feo.

Całą siłę woli musiała skupić przebiegła kobieta, aby nie wybuchnąć tryumfującym śmiechem.

Zgrzytnęły łańcuchy — most zwodzony opadł. Elastycznym krokiem pantery biegła Katarzyna pod górę. Gdy znikła w bramie zamku, zgrzytnęły znów łańcuchy i most się podniósł.

Daremnie czekali po trzech godzinach na jej powrót Savelli i radni miasta. Dyplomaci nie mają zwyczaj dotrzymywania danego słowa, a sprytna córka Sforzów była, jak się okazało, znakomitą dyplomatką, czyli zręczną kłamczynią.

Nie mylił się Orsi. Jedna kobieta wywiozła w pole męskie głowy miasta, urągała ich rozumowi i siłę z poza bezpiecznych murów zamkniętej warowni.

— Nie zapominaj o swoich dzieciach — straszyl ją Orsi głosem potężnym. — W ręku naszym są, od naszej łaski zależą.

A ona kazała mu odpowiedzieć:

— Róbcie, co się wam podoba! A ja pokażę wam, jak się Sforzowie mszcą.

Z długimi nosami, zafrasowani, wrócili radni do miasta. Wiedzieli, co ich czeka, gdyby się hrabinie udało uzyskać pomoc Bolonii i Medyolanu. Wysłał natychmiast do Rzymu gońca z prośbą o szybka dostawę wojska i fortyfikował gorączkowo Forli.

Spóźnili się. Bandy medyolańskie były już w drodze. Sforza spieszył na pomoc Sforzównie, ubiegł Rzym.

Straszny dzień sądny nastął w Forli. Razem z wojskiem medyolańskim rzuciła się Katarzyna na miasto. Najemne żołdactwo rabowało, paliło domy, a ona gasiła swoją mściwość w potoku krwi winnych i niewinnych. Mało jej było kata forlijskiego. By się nasycić widokiem męczanmi skazanych na śmierć, sprowadziła z *Castel Bolognese* znanego w całej Italii mistrza w sztuce torturowania, wieszania i rozrywania ludzki kośćmi. Maciejem Babone nazywał się ten „geniusz“ rafinowanego mordu. Nietylko zabijał z rozkoszą, ale umiał także wywahać, wytropić przestępców. W mysiach dziurach ich odznajdywał i wywlekał na miej-

sce kazi, na rynek, aby wszyscy mogli uwielbiać jego niepospolitą zrzeczność wyzła i kata.

Był.. zrzecznym. Całe setki Boga ducha winnych biedaków dostarczył „sprawiedliwości“ hrabiny, obryzgał wszystkie ulice ich krwią i ustroił ich trupami amury zamków forlijskich.

A „sprawiedliwa“ hrabina rozkoszowała się tą niezwykłą dekoracją swojej rezydencji, pyszniła się swoją... dzielnością i swoim rozumem.

Setki wdów, tysiące dzieci powieszonych, rozdartych przez konie, konających na torturach ojców, płakało, wyrывało sobie włosy z głowy, a ona, „mężna rycerka“, biesiadowała z oficerami, kondotyerami medyolańskimi, uszczęśliwiona powodzeniem vendetty.

Ani jednej kropli krwi rycerskiej nie miała w swoich żyłach. Z chałupy chłopskiej, w romańskiej wioszczynie Cotignola, wyszedł jej ród, nietylko chłopomaj ale także bandytami byli jej przodkowie i draieżna, dzika odwaga bandytów wyrzuciła ich z nizin na wyżyny. „*Femina sanguinaria et tyrannissa*“, „kobietą krwiożerczą i tyranką“ nazywa ją jakiś dokument, znaleziony w Imoli.

I była w istocie tygrysyca, gdy bronila swoich samolubnych ambicji, swojej władzy i mienia.

Dalszy ciąg nastąpi.

*O lipo rozłożysta,
Kochanie wiernie moje,
Znów miodnych kwiatów winem
Huczące poisz roje.*

*Takaś ty, lipo moja,
Radosna i weselna,
Tak cudnie ci przygrywa
Kapela twoja pszczelna.*

*Choć tyle lat widziałas,
— Dziad mój cie sadził przecie,
A jednak zawsze młoda
Co lato stroisz się w kwiecie.*

*Wkrótce i mnie już nie stanie,
— Czeka nas, lipo, rozłaka,
A może pod twoje konary
Mój syn się kiedy zabłaka.*

*Niech pachną mu twoje kwiaty,
Niech grają mu twoje pszczoły,
Niech i ona pozna twój pacierz,
Słoneczny, prosty, wesoly.*

Artur Cholecki.

Cała Europa.

Wczesne popołudnie majowe. Uświęconym obyczajem prawnego, warszawskiego inteligenta (niedziela...), kieruje pan Faustyn swe kroki na Plac Małachowski.

— Kawalek Europy... — myśli z dumą, spoglądając na Pałac Zachęty.

Na sali głównej wita go brzęk szkła. Poruszenie, tumult, wyzwiska. Chwila, a ukaże się straż bezpieczeństwa.

— *Carabinieri* — myśli p. Faustyn.

Luba ojczyzna Danta ożywa przed nim w tęsknym wspomnieniu. Florencja, Medyolan, Marinetti... Dwa tysiące widzów nie daje przyjąć do słowa usadowanej na estradzie garście wytwornie ubranych „futurystów“...

— Ach, Włochy!...

Westchnienie... Co roku o tej porze udawał się na dworzec Wiedeński!... Granica, *Prerau*... modra wstęga Dunaju...

Zamyślony kiwa na dorożkę. Dryndziarz co dopiero zlązł był z koźła i wziął do ręki kurierka... Spogląda pogardliwie na pana Faustyna, mierząc go od stóp do głowy: ileż też jucha zapłacie?

— Wiedeń, dalibóg Wiedeń! — lubuje się pan Faustyn...

— *Na, also! Prater Hauptal* — — — huknie nagle z całej siły na fiakra.

W tej chwili orientuje się w pomylce. Chce się poprawić...

Ale „fiakier“ zerwał się już pochopnie z miejsca, wskakuje na kozioł i rucchem pokornym zaprasza do środka.

— *Bite*, proszę pana...

Whehuk! robi „siekanie“ z pasażera. Stop: *Versailles!*

— *Garçon! S'ilvous p* — — —

— Dzień dobry — podchwytuje również po francusku przyjaciel i przysiadają się obok. Za chwilę drugi i trzeci...

Mała ankietka na czasie: dokąd tego roku?

— Ja do *Constantines-les-Bains*.

— Do *Villa Nuova*.

— *Bad Otowitzk*.

Z żartu na żart, „gałgańska“ wesołość wiedzie za bramy miasta... Gdzieś, do licha, wogóle wyjechać trzeba!...

— Sześć rubli: piętnaście franków dziennie... Z białą kawą na rano i z podwieczorkiem — do dwudziestu. Dwadzieścia pięć, jeżeli się chce jadać kolacje.

Czyż trzeba marzyć o wybrzeżu?

Piasku wbród, toaletta obowiązuje, rodaków w miarę (nie za wielu), słonoch rozmarzająca... *Złote Biarritz!*

...Ze starej Hiszpanii na Nowy-Swiat droga prowadzi przez całe piekło londyńskie. *Whitechapel-Street*: od czasu do czasu rozmówić się można po polsku. Zupełnie, jak w Warszawie na Nalewkach... Po za „bazarami“, żadnego śladu zamerykanizowania. Cygara, pocztówki, trochę drukowanej bibuły — krzty innego przemysłu.

Bahnhof Friedrich-Strasse — uśmiecha się p. Faustyn do nowego wspomnienia. Pierwszy dzwonek na Ejdkuny!...

— „Sobór“, „Plac Soboru“, „Ogólny widok wraz z Soborem“... Jak pięknym miastem jest Smoleńsk! — marzy w dalszym ciągu pan Faustyn, nie powrócony jeszcze rzeczywistości rodzimej...

...*Per pedes* peregrynując, dociera do Trzech Krzyży. Wzrok zachwycenia ześlizguje się z pięknego skweru przedkościelnego na cuchnący kompleks odrapanych domostw po drugiej stronie placu...

— Kozienice! — syczy zjadliwie.

I twarz p. Faustyna wykrzywia się w szpetnym uśmiechu politowania i wstrętu...

Nagle uniósł wzrok ku górze i rozradował się. Na przeciwległym rogu stoi przed nim tak dobrze mu znana ośmiopiętrowa latarka: ozdoba stolicy...

Poczuł się w Warszawie.

B. Gorceyński.

B A K.

23

POWIEŚĆ.

Montanelli począł z wolna schodzić na dół, a lud cisnął się dokoła niego, całując jego ręce. Niektórzy klekali i przykładali do ust skraj jego sutanny, gdy ich miał.

— Pokój niech będzie z wami, moje dzieci.

Na dźwięk tego srebrzystego głosu Bąk pochylił głowę, tak, że białe włosy opadły mu na twarz, a Domenichino, widząc drżenie pielgrzymiego kija w jego rękę, pomyślał z zachwytem: „Co to za aktor!”

Jakaś kobieta, tuż przy nich stojąca, schyliła się i wzięła dziecko na ręce.

— Pójdź. Cecco — rzekła, — Jego Eminencya pobłogosławi cię, jak Pan Jezus błogosławił małym dzieciom.

Bąk cofnął się krokiem w tył. Och! to było straszne! Wszyscy ci ludzie, ci górale i pielgrzymi mogą zbliżyć się i mówić do niego, a on będzie kładł rękę na głowach, ale dzieci. Może powie „Carino” temu małcowi, jak mawiał — — —

Osunął się ciężko na kamienne schody i odwrócił głowę, by nie widzieć. Gdyby mógł zaszyć się w jakiś kąt i zatkać uszy, by nie słyszeć tego głosu! Zaiste, to było więcej, niż człowiek znieść może! być tak blisko, tak blisko, że potrzebował tylko podnieść ramię, by dotknąć ukochanej ręki.

— Pójdź pod dach, mój przyjacielu — przemówił łagodny głos nad nim. — Widzę, że musiałeś przeziębnać.

W Bąku serce zamarło. Przez chwilę zdawało mu się, że pierś mu pęknie od ucisku stężalej krwi; poczem uczuł wrzenie w całym ciele i podniósł głowę. Głębokie, poważne oczy patrzyły na niego z łącie naddziemskim współczuciem.

— Odstąpcie trochę, przyjacielu — rzekł Montanelli, zwracając się do tłumu — chcę z nim pomówić.

Ludzie cofnęli się, szepcząc pomiędzy sobą, a Bąk, siedząc bez ruchu z zaciśniętymi zębami i oczyma utkwionemi w ziemię, uczuł łagodne dotknięcie ręki Montanelli'ego na ramieniu.

— Musisz mieć jakieś ciężkie zmartwienie. Czy mógłbym ci w czem dopomóc?

Bąk wstrząsnął głową w milczeniu.

— Jesteś pielgrzymem?

— Jestem nędznym grzesznikiem.

Przypadkowa tożsamość zapytania Montanelli'ego z umówionem hasłem wywołała ze strony Bąka machinalną odpowiedź. Trząsał się

on na całym ciele, pod miękkim dotknięciem tej dłoni, która parzyła go, jak rozpalone żelazo.

Kardynał pochylił się nad nim jeszcze niżej.

— Może chciałbyś pomówić ze mną na osobności? Jeżeli tylko mogę ci być pomocnym — —

Po raz pierwszy Bąk spojrział prosto w oczy Montanelli'emu; zaczynał już odzyskiwać panowanie nad sobą.

— To się na nic nie zdało — rzekł — mnie nikt pomódz nie może.

Wtem z tłumu wystąpił przedstawiciel policji.

— Z przeproszeniem Waszej Eminencyi. To człowiek niespełna rozumu. Jest całkiem nieszkodliwy, papiery ma w porządku, więc zostawiamy go w spokoju. Odsiadował więzienie za jakąś wielką zbrodnię, a teraz pokutuje.

— Wielką zbrodnię! — powtórzył Bąk, chwielec z wolna głową.

— Dziękuję, kapitanie; proszę odstąpić pan trochę. Mój przyjacielu, niema takiej zbrodni, którejby Bóg nie przebaczył, jeżeli widzi szczerą skruchę grzesznika. Przyjdź do mnie dziś wieczorem.

— Wasza Eminencya dozwoliłaby przestąpić swój próg człowiekowi, który winien jest śmierci swego syna?

Było coś niemal wzywającego w tem pytaniu. Montanelli drgnął i cofnął się zlekka.

— Boże uchowaj, abym miał cię potępić — rzekł uroczyście. — W oczach Najwyższego wszyscy jesteśmy jednakowo winni, a nasza prawda jest jako cuchnący łachman. Przyjdź, a przyjmę cię tak, jak pragnę, aby Pan przyjął mnie kiedyś.

Bąk wyciągnął nagle obie ręce namiętnym ruchem.

— Posłuchaj Eminencyo — rzekł — i słuchajcie wy wszyscy, chrześciance! Jeżeli człowiek zamordował własnego syna, krew swojej krwi i kość swojej kości, jeżeli kłamstwem i oszukaństwem wprowadził go w śmiertelną zasadzkę, czyż dla takiego człowieka istnieje jaka nadzieja na ziemi lub w niebie? Wyznałem moją zbrodnię przed Bogiem i ludźmi i odcierpiełem karę, jaką ludzie na mnie nałożyli i oni powrócili na wolność, ale kiedyż Bóg powie: „już dosyć”? Jakież błogosławieństwo zdejmie Jego kłatwę z mojej duszy? Jakie rozgrzeszenie naprawi zło, jakie uczynięm?

Nastąpiło głuche milczenie i tłum patrzący na Montanelli'ego widział, jak krzyż zdobiący jego piersi podniósł się i opadł ciężko. Wreszcie

kardynał podniósł bęczy i udzielił mniemanemu pielgrzymowi błogosławieństwa drżąca ręką.

— Bóg jest miłosierny — rzekł. — Złóż ciężar twój w stóp Jego Tronu, albowiem napisane jest: „Złamane i sponiewierane serce nie zazna wzgardy”.

Odwrócił się i poszedł na rynek, zatrzymując się co chwila, by rozmawiać z ludźmi i brać ich dzieci w objęcia.

Wieczorem Bąk, stosownie do wskazówki skreślonej na papierze, w który był owinięty obrazek, znalazł się na umówionem miejscu schadzki. Był to dom tutejszego doktora, czynnego członka związku. Większość spiskowców była już zgromadzona, a ich radość na widok wchodzącego Bąka dała mu nowy dowód jego popularności, jako przywódcy.

— Cieszymy się, że możemy cię znów powitać — rzekł doktor — ale będziemy się jeszcze bardziej cieszyć, gdy cię pożegnamy. Straszliwie to niebezpieczne przedsięwzięcie i ja, osobiście, byłem temu planowi przeciwny. Czy aby który z tych policyjnych szeszurów nie zauważył cię?

— O! z...zauważyli mnie wszyscy, ale nikt n...nie poznał. Domenichino kapitałnie wszystko obm...myślił. Ale gdzież on? Nie widzę go.

— Nie przyszedł jeszcze. Więc poszło gładko? Kardynał udzielił ci błogosławieństwa?

— Co to błogosławieństwa! — podchwycił Domenichino we drzwiach. — Rivarez! jesteś nazwycyżajny człowiek. Ile jeszcze posiadasz ukrytych talentów?

— Cóż tam takiego? — zapytał Bąk niedbale. Siedział napół leżąc na sofie. Miał wciąż na sobie pielgrzymi strój; tylko biała peruka i broda leżały obok.

— Nie miałem pojęcia, że jesteś tak znakomitym aktorem. To było coś, poprostu, wspaniałego. Poruszyłeś Jego Eminencyę do łez.

— Jakże to było? Opowiedz nam, Rivarez'ie!

Bąk wzruszył ramionami. Był w milczącym i posępnem usposobieniu, i tamci, widząc, że nie z niego nie wydobędą, zwrócili się do Domenichina. Ten opowiedział szczegółowo całą scenę na rynku, a gdy skończył, młody robotnik, który nie brał udziału w ogólnych zachwytach, rzekł szorstko:

— Bardzo to było sprytnie, przyznaję, ale na co się ta cała komedya przyda?

— Tylko na to — wtrącił Bąk, — że mogę teraz chodzić wszędzie po okolicy i robić, co mi się podoba, a nikomu nie zaświta w głowie podejrzenie mnie. Bo, jeżeli spotkam szpiega, to ten pomyśli sobie: „To ten obłąkany Diego, który spowiadał się publicznie ze swoich zbrodni na rynku”. To chyba korzyść nielada.

— Tak, zapewne. Ale wolałbym, żeby się to obyło bez mieszanina w to kardynała. Zbyt to zacny człowiek, żeby sobie z niego stroić kpiny.

Bak nie nie odrzekł i wnet zaczął omawiać szczegółowo różne plany przemycenia i ukrycia broni. Bak słuchał z natężoną uwagą, rzucając raz po raz krótkie, jedne słowo uznania lub przygany.

Wprędce też zaczęło się rozchodzić, by nie zbudzić czujności policyi. Został tylko doktor, Bak i Domenichino, jako skład pod-komitetu, dla ogadania jeszcze kilku najważniejszych punktów.

Po długich i gorących rozprawach Domenichino spojrzął na zegar. — Wpół do dwunastej; trzeba już iść, bo nas mocny stróż zobaczy.

— O której tedy przechodzi? — zapytał Bak.

— Około dwunastej; a ja chcę być przedtem w domu. Dobranoc Giordani. Rivarez, idziesz ze mną?

— Nie; bezpieczniej będzie odziedlnie. Zobaczymy się jeszcze?

— Tak; na Castel Bolognese. Nie wiem jeszcze, jakie przebranie włożę; ale znasz hasło. Kiedy odchodzisz?

Bak kładł starannie przed lustrem perukę i brodę.

— Jutro rano z pielgrzymami. Pojutrze zachoruję i zostanę w jakiej chacie; a potem krótką drogą w góry. Będę tam przed tobą. Dobranoc!

Dwunasta biła na katedralnej wieży, gdy Bak stanął przed otwartymi na rozcięż drzwiemi wielkiego baraku, przeznaczonego na nocleg dla pielgrzymów. Cała podłoga zapechana była leżącami postaciami, których większość chrapała przeraźliwie; straszliwy zaduch unosił się w powietrzu.

Bak cofnął się z obrzydzeniem. Nie usnąłby tutaj; pomyślał więc, że poszuka sobie jakiej szopy lub stogu siana, gdzie przynajmniej będzie cicho i czysto.

Noc była wspaniała; księżyc w pełnię świecił jasno na zaróżowionem zlekką niebie. Bak zaczął błąkać się bezcelowo po ulicach, rozmyślając z ciężkim sercem o porannej scenie przed biskupim pałacem. Och! czemuż zgodził się na plan Domenichina! Gdyby odrazu zaprotestował był przeciw Brisighelli, wybrano by jaką inną miejscowość i byłby sobie oszczędził tego okrutnego spotkania z Montanelli'm.

Jakże on się zmienił, ten jego Padre! Tylko głos pozostał ten sam, jak w owych czasach, kiedy go nazywał „Carino“.

Latarnia nocnego stróża błysnęła na końcu ulicy i Bak skręcił w ciemny, wązki zaułek. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, znalazł się na Katedralnym Placu tuż przy lewym skrzydle biskupiego pałacu. Cały plac pławił się w księżycowym świe-

tle, i Bak spostrzegł, że boczne drzwi katedry były otwarte. Prawdopodobnie zakrystyan nie zamknął ich przez nieuwagę, boć chyba żadne nabożeństwo nie mogło się odprawiać o tak późnej porze. Zupełna pustka panowała dokoła.

Cóż! wejdzie i prześpi się na jakiej ławce, a rankiem wymknie się przed nadejściem zakrystyana; a gdyby go nawet kto zobaczył, to i tak nie stanie się nic złego. Pomyślał, że biedny wariat wlaź w jakiś kąp, by się modlił, i usnął z wyzerpania.

Posłuchał chwilę u drzwi i wszedł do wnętrza tym bezszelestnym krokiem, który mu mimo kalectwa pozostał. Światło księżycy płynęło przez okna i leżało szerokiemi strugami na marmurowej posadzce. W kaplicy zwłaszcza, widno było, jak w dzień. U stóp ołtarza kleczał kardynał Montanelli z gołą głową i złożonemi rękoma.

Bak cofnął się w cień. Czy ma się wymknąć, zanim go Montanelli zobaczy? To byłoby niewątpliwie rzeczą najrozumniejszą, a zarazem może i najmiłosierniejszą. A jednak, coś go pchało, aby podejść trochę bliżej, popatrzeć raz jeszcze na twarz ukochanego Padre, teraz gdy już nie było trzeba grać tej ohydnej komedii! Może to będzie ostatnia sposobność po temu — Padre nie potrzebuje go widzieć — podejdzie cichutko i spojrzy — tylko raz jeden. A potem — wróci do roboty...

Skradając się w cieniu filarów, przysnął się do samej balustrady i stanął u bocznej wejścia, tuż przy ołtarzu. Cień biskupiego tronu padał na niego i Bak przykucał w ciemności, wstrzymując oddech.

— Mój biedny chłopiec! O! Boże! Mój biedny chłopiec! — zaszeptał głos Montanelli'ego.

Był to szepc tak bezgranicznej rozpaczny pełen, że Bak mimowolnie zadrżał. Wnet potem usłyszał przeciągłe, suche łkania i ujrzał, jak Montanelli zafamywał ręce, jak człowiek, który się wije z bólu.

Nie przypuszczał, że to tak być może. Ileż razy mówił sobie z goryczą: „Nie mam się co o to troszczyć; ta rana dawno już zagojona“. A oto teraz po latach ujrzał ją krwawiącą wciąż okrutnie. Jakże łatwo było zagoić ją nareszcie! Tylko podnieść rękę; tylko postąpić krok naprzód i rzec: „Padre, to ja“. A Gemma! Z tym promieniem białych włosów w warkoczu! I ona też cierpiała; i jej należała się ulga! Zaiste, to był ból nad bóle; chcieć przebaczyć, tęsknić za tem. Och! Gdyby tylko mógł przebaczyć i wiedzieć, że to na próżno; że nie może, że nie potrafi, że nie śmie przebaczyć. Gdyby mógł wyrwać z pamięci tę przeszłość, tak głęboko w niej zakopaną! gdyby mógł zapomnieć o pijanym majtku, o plantacyach cukru, o wędrownym cyrku!...

Montanelli powstał nareszcie z kłęczek; przeżegnał się i odszedł od ołtarza. Bak zasnął się jeszcze głębiej w cień, drżąc z obawy, że mógłby być dostrzeżonym, że samo bicie jego serca mogło go zdradzić; poczem odetchnął z ulgą. Montanelli przeszedł koło niego tak blisko, że fioletowa jego szata musnęła mu policzek — przeszedł i nie zobaczył go.

Nie zobaczył go! Och! cóż on uczynił? To była ostatnią sposobność; jedyna, drogocenna chwila i pozwolił jej minąć. Zerwał się i wystąpił z ukrycia.

— Padre!

Dźwięk jego własnego głosu obijający się o łukowate sklepienia, nappełnił go taką dziwną trwogą, że skrył się znowu w cień.

Montanelli przystanął pod filarem, bez ruchu, nadsluchując z szeroko otwartemi oczyma, zdjęty śmiertelną zgrozą.

Jak to długo trwało. Bak sam nie wiedział. Może chwilę, może wieczność całą. Nagle drgnął. Montanelli zaczął się sianiać, jakgdyby miał upaść; usta jego poruszyły się bezdźwięcznie.

— Artur! — wyszeptał nareszcie — Artur!... To być nie może... Woda taka głęboka...

Bak wyszedł z ukrycia.

— Przepraszam, Wasza Eminencye! Myślałem, że to który z księży.

— Ach, to pielgrzym.

Montanelli odzyskał niezwłocznie panowanie nad sobą, choć niespokojne migotanie szafiru na palcu zdradzało wewnętrzne drżenie.

— Czy potrzebujesz czego, mój przyjacielu? Już późno i katedra zamyka się na noc.

— Przepraszam Waszą Eminencyę, jeśli w czem pobłądził. Zobaczyłem otwarte drzwi i wszedłem, żeby się pomodlić, a ujrzałem jakiegoś, jak mi się zdawało, księdza, zapotopionego w rozmyślaniach, czekałem, aby go poprosić o poświęcenie tego krzyżyka.

I wyjął blaszany krzyżyk kupiony u Domenichina. Montanelli, wróciwszy do kaplicy, położył go na chwilę na ołtarzu.

— Weź go, mój synu — rzekł — i bądź dobrej myśli, bo Pan jest miłosierny. Idź do Rzymu i proś o błogosławieństwo Ojca Świętego. Pokój niech będzie z tobą!

Bak pochylił głowę, by przyjąć błogosławieństwo i oddalił się zwolna.

— Poczekaj! — rzekł Montanelli.

Stał opierając ciężko rękę o balustradę.

— Gdy przyjmiesz Komunię Świętą w Rzymie — mówił dalej — pomódl się za kogoś, pozostającego w ciężkim zmartwieniu; za kogoś, nad kim dłoń Pana zaciężyła.

Dalszy ciąg nastąpi.



Psalm Dawidowe.

Był czas, gdy płocha, swawolna piosenka śpiewała tylko przez duszę Józefa Jankowskiego. Wietrzna ta a czarująca Pani już odeszła w przeszłość. Pozostawiła w pamięci naszej poemaciki krótkie a tak wymowne:

Ty w swoje białe, małe dłonie
Weź skołatanę serce moje:
Serce, co krwawe przeszło boje,
Serce, co krwią żałości plonie.

I jeszcze w czas „jesieni” odezwały się te tony, kunsztownie zamknięte przez Jankowskiego w „sonety małe”, ale już zapowiadające, że wzrok poety szuka dróg dla siebie innych, wzywał wiodących. Cicho wtedy marzył:

Cudna jesieni
Przedśmiertna zorzo!
Nad wdzięk promieni,
Nad wiosną hożą
Ciebie przelożą,
Jak ja, stęsknieni.

I rozpoczęły się mozolne lata poszukiwań. Przez mądrość mistrzów okultyzmu, poprzez księgi medrców Wschodu i Zachodu brnął cierpliwie Jankowski. Zatrzymał się nad filozofem renesansu włoskiego, marzycielem wiary, pragnącym pogodzenia nauki z prawdą objawioną, Janem Pico della Mirandola. Praca o tym „feniksie geniuszów” przynosi Jankowskiemu tytuł doktora nauk hermetycznych, ale głodu duszy nie koi. Wędrownka trwa i prowadzi poetę „zwrotek” do kornych podziwów dla prostoty moralnych nakazów Chrześcijaństwa. „Extra ecclesiam nulla salus” — przewija się przez słowo Jankowskiego, jako najśłodsza tajemnica.

Rozkochany w Panu, łaknący prawdy wiecznej, przekłada Laktancjusza, Firmiana „carmen de phoenice”. W zwartym, spiżowym wierszu spowiada się z wiary kojącej:

„Wciąż ten sam, wždy nie ten, — choć
l jeden, lecz ciągle jest inny.
Nieśmiertelność w udziale otrzymał
[śmierci wysługą”.

Tak duchowo rozrosły, takie horyzonty sercem i świadomością obejmujący, przystąpił Jankowski do przekładów „Psalmów Dawidowych”. Mistrz z Czarnolasu dowolnie snuł melodye na te tematy. Jankowski zdecydował się przelożyć je wierszem. Mówi on: „W przekładzie niniejszym starałem się o ścisłość, prawie że dosłowną, o ile na to pozwalała forma wierszowana”. Ścisły jest jednak Jankowski, nie dając się uwieść wierszowi, panując nad nim zupełnie. Wierszowany ten przekład psalmów Dawidowych przeszedł przez cenzurę kościelną, a więc powinien się stać książką religijnych wrzeszeń dla dusz „bojących się Pana”. Ale i dla miłośników głębszego słowa artystycznego znajdzie się ucztą, znajdując melodye, jakby żywcem z piersi narodu naszego wyrwane. Psalm 89, zawierający modlitwę Mojżesza, człowieka bożego, woła przecież:

„Ucieczką naszą stałeś się, o Panie,
Przez ciąg pokoleń, przez rodzący
[trwanie”.

i w bólu swoim, ścinającym krew w żyłach, modli się przed Obliczem Przedwiecznego:

„Wejrzyj na sługi Twoje, na twe dzieła,
I prowadź czeladź, izby nie zginęła”.

Psalmi Dawidowe były drukowane już w różnych czasopiśmiech, zamieszczał je też i „Świat” na łamach swojego dodatku literackiego „Romans i Powieść”. Zebrane w miłą wiązanke, powinni się stać ukojicielami głodu dusz, szukających w zbożnej kontemplacji pieśni z Boga płynących.

„Psalmi Dawidowe” w przekładzie Józefa Jankowskiego wiernie zostały obecnie przyswojone słowu polskiemu. W literaturze przekładów zajmą godne miejsce. Tomik ten wybornie też służy, jako wskaźnik przemian duchowych Jankowskiego. Śpiewak ironicznie wdzięków słodkiej pani, co była żoną cukiernika, pogłębił się i nastroił na tony, sięgające w wieczność. Józef Jankowski minstrel wesoły, poszukiwacz przygód sercowych, pieśniarz kobiety, wykupa w sobie poetę-kapłana, ofiarnika, podtrzymującego ogień dusz płonących na ołtarzach czasów, dla Tego, co władnie po za Czasem.

Studia o Wyspiańskim.

Krytyka literacka stale pracuje, od chwili śmierci autora „Wesela”, nad rozwiązaniem zagadnienia twórczości tego genialnego wizyonera. Zima ubiegła wiele się też przyczyniła do rozpowszechnienia i spopularyzowania dzieł Wyspiańskiego. Właściwie całe literackie zainteresowanie Warszawy obracało się przez kilka ostatnich miesięcy koło „Warszawianki”, „Nocy listopadowej” i „Wyzwolenia”. Grzymała-Siedlecki trzy razy powtarzał swoje prelekcje o Wyspiańskim. Jellenta, Belmont i Matuszewski też zbierali żniwo, jako prelegenci, roznosząc swoje koncepcje literacko-estetyczne koło dzieł krakowskiego samotnika. W osobnej odbite wydał swoje dwa studia Ignacy Matuszewski p. t. „Wyspiański i Hamlet” oraz „Metafizyka Wyspiańskiego”. Studia te są interesujące z punktu widzenia literackiego — ale tylko „Metafizyka Wyspiańskiego” rzuca pewne światło na sposób rozumowania, na pogląd, na świat autora „Legendy”. Bo przecież możnaby też napisać studium p. t.: Dmowski a Hamlet. Prof. Matuszewski uważa bowiem:

„I Wyspiański i Hamlet urodzili się niejako pod kłątą: los powołał ich do spełnienia czynu, którego doniosłość oraz świętość, i obiektywnie i subiektywnie — nie ulegają dla nich wątpliwości, a którego mimo to spełnić nie mogą” (Str. 12).

Druga przesłanka kryterioznawcza prof. Matuszewskiego opiera się na tem, że Wyspiański napisał studium-komentarz do „Hamleta”. Wyspiański też stworzył „Cyda” a nawet Homera po swojemu. Czyż więc wystarczy może tylko psychologizowanie na łach moralnych Hamleta do określenia wiernego twórczości lub też indywidualności Wyspiańskiego? Stąd też i analizy Matuszewskiego prowadzą odrazu do konkluzji, które zostały zgóry Wyspiańskiemu imputowane. Napewno bowiem można z równym skutkiem dowieść, że Wyspiański nie tylko nie lękał się czynu, ale wręcz przeciwnie, błogosławił wszelki czyn. Nie nawidził tylko słów. „Język to nam szy-

ki mięsza, a tu potrzeba ręki, nie języków” (Chłopicki). Co więcej mówi przez usta Lelewela: „Bóg, co mi serce dał, zdradzić mi każe, ieno nie zdradzam Polski!”

W psychice Wyspiańskiego te tony męskie i zdecydowane są przeważające. Nie wyczuwa się w nim nigdy powojowości, sentymentalizmu. Pocóż więc sprwadzać psychikę jego twórczości do chorowitych stanów duszy królewicza duńskiego. Dźwigał moc, pragnął budować polską potęgę, gorzał w naszym społeczeństwie, jak płomień zaklęty w marmurze — i spotyka go utożsamienie z Hamletem.

W studium o metafizyce Wyspiańskiego prof. Matuszewski podkreśla irracjonalność poglądu na świat autora „Wesela”. Mówi jednak, że Wyspiański wierzy w prawo zachowania energii duchowej, której śmierć nie niweczy (Str. 41). Metempsychoza i religijność wiążą się w Wyspiańskim w modlitwę do Boga o „Polskę żywą”, realną, o „Ziemie szczęśliwą”.

Studia Matuszewskiego są głębszymi przyczynkami do zrozumienia twórczości Wyspiańskiego. Szkoda tylko, że Matuszewski zbyt podkreślił pierwiastki niezdecydowania. Uczył bowiem Wyspiański współczesne pokolenie heroizmu, pogardy Śmierci, drwił złośliwie z „weselnym” poetów, hamletyzujących dziennikarzy i wołał do nas wszystkich: „Umarcie! śmierć was odrodzi... Zmartwychwstaniecie młodzi!”.

E. C.

Inspekcje pracy.

W bibliotece „Kuzni” zjawia się interesująca rozprawka młodego ekonomisty i polityka, p. Edwarda Lipińskiego, p. t. „Inspekcja pracy”. Broszurka ta omawia ważną dla nas w teraźniejszości i w przyszłości kwestję ochrony pracy. Dotychczas nas mieliśmy demokratycznie zorganizowanych tego rodzaju instytucji społecznych. By wyjaśnić ich zadania i cel, p. Lipiński mówi „o powstaniu i rozwoju prawodawstwa ochronnego” na Zachodzie, a następnie wskazuje „na prawa fabryczne w Rosyi”. „Inspekcja fabryczna” rosvijska w całej swojej wadliwości została zademonstrowana w interpretacji p. Lipińskiego. Po tych rzeczowych informacjach przechodzi autor do wskazania, czym jest „zagadnienie inspekcji pracy” oraz „polska inspekcja Pracy w Warszawie”. I przychodzi pan Lipiński do przekonania: „Statut warszawski stoi na poziomie bardziej demokratycznego ustawodawstwa krajów Zachodu”. Do głównych zaś zadań „Urzędów pracy” należy sprawowanie inspekcji pracy i wydawanie rozporządzeń, niezbędnych dla ochrony życia i zdrowia robotników”.

Praca p. Lipińskiego świadczy o gruntowności jego studyów społecznych. Wybitnie zaś demokratyczny jej charakter czyni z wywodów autora interesującą przyczynkę do odradzającego się życia organizacyjnego wśród proletariatu. Mówi bowiem p. Lipiński:

„Jeszcze raz musimy powtórzyć, że pożytek, jaki wszystkie instytucje ochrony pracy przyniosć mogą klasie robotniczej, przedewszystkiem zależy od siły ruchu robotniczego, reprezentowanego przez proletaryackie partie polityczne i związki zawodowe”.

